

Epidemia

Część 1

Czy przekonałeś się kiedyś, jak to jest kochać? Wiesz zapewne, co mam na myśli. Nie mówię tu o drobnych zauroczeniach, lecz o głębokim uczuciu, które spaja dwoje ludzi. Sprawia ono, że tak naprawdę własne dobro i wygodę odkładamy na drugi plan, a na szczycie naszego podium stoi właśnie ten, kogo tymi przyjemnymi odczuciami darzymy. Sądzę, że ostatnie wydarzenia dały mi dobitnie doznać, że to najprawdziwsza prawda – że miłość to przede wszystkim poświęcenie.

Nie byłem w stanie opisać, jak wielki ból sprawiało mi jej spojrzenie. Każde jej podniesienie powiek przepełnione było troską, choć tak naprawdę to w moich oczach powinna ją dostrzegać. Leżała na starym pledzie. Na tyle starym, że okrywał nas każdej nocy od kilku lat. Zatrzymywał ciepło, jakim emanowały nasze wtulone w siebie ciała. Wtedy jednak nie leżałem obok, a ona trzęsła się z zimna. Gdybym mógł, po prostu ogarnąłbym ją swoimi ramionami i czekał, aż zaśnie, a gęsia skórka zniknie.

Była późna jesień i nadchodzący chłód dawał o sobie znać. Śnieg prószył urywanie, na razie topiąc się, lecz byłem pewien, że najdalej za tydzień jego gruba pokrywa spowije ziemię.

Na rozżarzoną czołowi kobiecie miała położony chłodny okład, a gorączka ogarniała całe jej ciało. Tuż naprzeciw mnie u jej boku klęczała Zielarka, która często służyła nam pomocą. Jej twarz była ściągnięta smutkiem i miałem wrażenie, że postarzała się o kilkanaście lat, podczas tych kilku dni. Co stało się podczas nich?

Z prędkością światła, dzień za dniem mieszkańcy naszej małej wioski stawali się ofiarami epidemii, z jaką dotychczas nikt wcześniej się nie zetknął. Ba, jak dotąd nikt nawet nie odważył się zbadać jej pochodzenia. Ludzie lękali się śmierci, która tak chętnie zagłębiała w oczy ich bliskim. Nawet poczciwa Zielarka nie wyciągała już ze swojej gablotki leczniczych ziół, jak to miała w zwyczaju i nie doradzała długiego odpoczynku. Nie stawiała diagnozy z uśmiechem mówiąc, że to nic groźnego i że parę dni wystarczy, by stan zdrowia powrócił do normy.

Nie potrafiła kłamać, dlatego też w jej chatce było pusto. Nikt nie potrzebował opieki, albowiem wiedział, że póki co dla rasy ludzkiej nie ma szans, a przynajmniej tak działo się w większości przypadków. Ludzie woleli umierać w swoim gnieździe rodzinnym, gdzie otoczeni byli miłością bliskich do samego końca. Ja jednak wierzyłem w cuda i choć otwarcie się do tego nie przyznawałem (zapewne spaliliby mnie na stosie za herezję), to wierzyłem, że jest sposób, by ocalić życie nas wszystkich. Oczywiście w tamtej chwili nie myślałem o tak wielkiej grupie osób. Miałem nadzieję uratować tylko ją. Chciałem zrobić coś pożytecznego. Czułem po prostu, że muszę podjąć wszelkie możliwe działania. Tak, jakby ta misja powierzona mi była przez samego Boga. Jakby trzymał w zanadrzu przez tyle lat coś, co mogłoby otworzyć mi wrota do raju i na co właśnie nadszedł czas.

Chciałem pomóc również dlatego, iż zdawałem sobie sprawę, że prędzej czy później epidemia dosięgnie także i mnie, jeśli szybko nie wykorzeni się jej z innych ludzkich organizmów.

Rozejrzałem się wokół. Chatka, w której mieszkała Zielarka i w której opiekowała się swoimi gośćmi, zbudowana została z drewna. Co prawda nie była zbyt szczelna i panował w

niej przeszywający chłód, ale miały mną takie nerwy, że praktycznie bym tego nie zauważył, gdyby nie pobrała twarz mej kochanki.

Podłogę wyścielały skóry niedźwiedzi, które to zostały zdobyciami lubego Zielarki. Zmarł niedawno, za sprawą wieku. Kobieta też miała już swoje lata, lecz często wypierała ten fakt licząc, że będzie żyć wiecznie i uzdrawiać innych bez końca. Miała wiele pamiątek po mężu, który zarabiał na życie na zwierzęcych rogach, pazurach, kłach, mięsie czy skórze. Zielarka nie pochwałała tego sprzeciwiania się naturze, albowiem sama żyła z nią w zgodzie, lecz zdawała sobie sprawę, że muszą się z czegoś utrzymać, a wioska czymś wyżywić i odziać.

Wracając do wystroju chatki – był dość przytulny. Jej wnętrze było dość małe. W rogu widniał malutki kominek, który nie roztracał ciepła dalej, niż na pół metra. Ściany wypełnione były półkami z jasnego drewna. Stały na nich różne mikstury i ziele, z których słynęła kobieta. Była bardzo szanowaną obywatelką wsi, przez niektórych nazywaną czarownicą, a przez innych córką Gai. Nie ukrywam, że była dla mnie bliską osobą, kimś w rodzaju babki.

Pamiętam czasy, gdy razem z żoną przychodziliśmy do niej napić się ziołowej herbaty. Opowiadała nam wtedy o miejskim życiu. Obserwowała je czasem, gdy musiała zakupić potrzebne składniki do swoich leczniczych eliksirów. Naprawdę wspaniała kobieta, słowo daję.

Gdy moja kochanka zasnęła po raz kolejny głębokim snem, Zielarka zobaczyła, jak na mojej twarzy maluje się zmartwienie. Podjęła wtedy jedną ze swoich magicznych historii, opowiadającą o podróżującym młodzieńcu, który natknął się na magiczną roślinę. Oczywiście, to była aluzja do mnie. Tego wieczoru kobieta dała mi do zrozumienia, że muszę chociaż spróbować zawalczyć o życie tej, którą kocham ponad nie. Onieśmieliłem się myślą, że ktoś musiał mnie do tego zachęcać.

Skutki mojej wyprawy miały pozostać niewiadomą przynajmniej do tego momentu, aż znów przekroczę próg chaty. Roślina, którą polecono mi znaleźć była bardzo rzadko spotykana, wręcz w ogóle. Istniały także szanse na to, że nie spełni wymagań Zielarki i co najwyżej złagodzi tylko ból, który wywoływała epidemia. Kiedy jednak dłużej się nad tym zastanowiłem, chyba i tak lepsze to, niż nic.

Tego wieczoru kobieta opowiedziała mi, jak mam dotrzeć w wyznaczone miejsce. Czekala mnie naprawdę długa wyprawa, a ja bałem się, że nie zdążę w porę wrócić. W naszych czasach podróżowaliśmy tylko i wyłącznie na koniach lub pieszo, gdy nie stać nas było na to pierwsze. Coś jednak we wnętrzu mojego serca kazało mi spróbować. Nie dla Zielarki, nie dla mnie, lecz dla tej, której to było potrzebne. Jeśli przyszedłoby mi znosić najgorsze, to miałbym przynajmniej świadomość, że zrobiłem wszystko, co byłem w stanie.

Kiedy moja kochanka się obudziła, wyjaśniłem jej nasz plan. Nie chciała, bym odchodził, lecz obiecałem, że zdążę wrócić. Tylko, przed czym? Przed śmiercią? Przed zmierzchem? Nie powiedziałem nic więcej, to jej wystarczyło, choć w mojej głowie zasiało więcej pytań. Chyba moja luba domówiła sobie resztę.

Z samego rana, gdy tylko zaczęło świtać, ubrałem na siebie długi, tkany przez moją żonę płaszcz. Gdy zamykałem drzwi do chatki krajało mi się serce. Jeszcze przed chwilą czułem jej łzy spływające na mój kołnierz, gdy prosiła, bym wrócił bez żadnych szram i na siebie uważał. W tamtej chwili czułem tylko krople deszczu na karku, które jakby zwiastowały smutny koniec.

Część 2

Bywają takie chwile, w których wbrew sobie człowiek działa inaczej niż powinien. Dlaczego to robi? Ponieważ boi się swoich błędów z przeszłości, bo gdzieś w tej sytuacji tkwi

częstka niego. Niektórzy nazywają to po imieniu, inni zadaniem wyznaczonym przez Boga. Jednak jakkolwiek by tego nie ochrzcić, sądzę, że tym wszystkim kieruje głównie nasze serce.

Podróżowałem już dość długo. Nie wiem, która była godzina, jednak słońce wzniosło się już nad moją głowę. Przebijało się przez gęste igły drzew, walcząc z nimi zaciekle o miejsce. Chyba jednak przegrywały tę wojnę, bo nawet patrząc pod swoje nogi potykałem się o każdy korzeń wystający z ziemi. Z wszelkim powiewem wiatru krople, które były pozostałością po ulewie, wesoło skakały na moją głowę i ramiona. Byłem przemoczony i zmarznięty, jednak przyświecał mi ważny cel i nie przystanąłem aby się ogrzać, choć wiedziałem, że i to grozi mi zgubą. Zmęczenie ogarnęło mnie już dawno temu, lecz pomimo tego nie wsiadłem na swojego wiernego konia. Choć byłem poobijany, a każda kończyna mojego ciała zdrętwiała, że nie dałbym rady tego uczynić.

Kilka minut później, a przynajmniej tak mi się zdawało, uniosłem wzrok ku górze. Wcześniej był wbity w ziemię, a wtedy wodził po lesie od prawej do lewej i znów od lewej do prawej. W centrum mojego pola widzenia znajdował się ogromny głaz. Na nim znajdowało się coś na kształt małego krzaczka. Z początku nie chciałem w to wierzyć. Myślałem już, że mój wzrok mnie zawodzi, całkiem jakby patrzył na iluzję optyczną. Jednak, kiedy skusiłem się podejść bliżej, dostrzegłem wyraźnie małe drzewko. Wrastało w kamień, a niektóre jego korzenie spływały po nim jak włosy okalające kobiecą twarz. W mieście dużo mówiło się o tych roślinach. Opowiadano o nich liczne legendy. Te małe drzewka były czymś w rodzaju studni życzeń – jeśli wrzucisz do nich pieniądze, to Twoje życzenie się spełni.

Tu zadanie było prostsze i nie wymagało wydatków. Wystarczyło urwać jedną z igieł krzaczka, uprzednio nakłuwając sobie nią opuszek palca. Zazwyczaj byłem przeciwnikiem tego typu wierzeń. Jak już chyba zresztą wspominałem wcześniej – spaliliby mnie za nie na stosie, a ja pomimo, że lubiłem ciepło, nie chciałem smażyć się w ogniu.

Choć tak naprawdę średnio co trzeci mieszkaniec naszej wioski wierzył w historię drzewka, ja odpychałem od siebie te myśli, ilekroć była taka okazja. Chyba jednak w przeciwieństwie do duchów i upiórów, wiarę w magiczne rośliny tolerowano, chociaż w małym stopniu. Pomyślałem, że tym razem nie mam nic do stracenia. Ponoć samo ujrzanie tego rzadkiego okazu było prawdziwym szczęściem, więc czemu nie posunąć się dalej?

Wyciągnąłem rękę przed siebie.

- Chciałbym, aby mnie i mojej lubej nic nie rozdzieliło – jak widzicie nie poprosiłem o lek. Byłem gotów szukać go w nieskończoność, lecz żyć bez niej? To tak jakby został naruszony cały mój dotychczasowy świat.

Być może moje słowa były banalne, ale jakże prawdziwe i wpływające prosto z serca. Moja ręka powędrowała prosto do ostrych igieł. Poczułem, jak z kciuka sączy się krew. Włożyłem palec do ust, chwilę go ssąc, aby ją zatamować. Pamiętam, jak Zielarka zawsze na mnie krzyczała, widząc to - gdybym nie ruszał rany, zagoiłaby się dużo szybciej. Jednak ja wolałem swoje tradycyjne metody. Upartego nie zmienisz.

Chwilę potem igielka była już w mojej kieszeni. Poczułem się tak, jakbym nosił przy sobie swoje marzenie. „Więc dlaczego Cię tu nie ma, skarbie?” – pomyślałem i zaraz zastanowiło mnie, czy nie popadam w paranoję. Wierzyłem, że ona wyzdrowieje, jednak inna część mojego mózgu, chyba jedna z tych, których człowiek nie wykorzystuje, wypierała te myśli i jakby uderzając moją głowę o mur, równie boleśnie wtłaczała do niej rzeczywistość. W tej rzeczywistości ona leży w chatce Zielarki i powoli odchodzi.

Najgorszą ze wszystkich myśli, które mnie nachodziły była ta, że nie zdążę wrócić, że jej już nie będzie. Nagle ciąg moich rozważań przerwał cichy szloch. Przez chwilę miałem wątpliwości, czy nie wydobywał się ze mnie i nie miałem gwarancji, że tak nie było, dopóki

nie spostrzegłem małego ciała ukrytego za drzewkiem. Okrążyłem je i spojrzałem na dziecko z góry. Uniosło na mnie swoje wielkie, przerażone oczy pełne łez, które stoczyły się po policzkach. Była w nich jednak fascynacja, jaką wykazuje każde dziecko drugą osobą, gdy widzi ją pierwszy raz w życiu. Te oczy należały do piegowatej dziewczynki o rudych, oklapniętych włosach zaplecionych w dwa grube warkocze. Była ciepło ubrana, lecz pomimo tego drżała na całym ciele.

Kiedy przykucnąłem przy niej, wybuchła nową falą płaczu, która była dużo gorsza od poprzedniej. Przytuliła się do mojego kolana i szlochała. Poglaskałem ją po głowie. Nigdy nie trzymałem w objęciach takiej małej istotki, choć zawsze tego pragnąłem. Była to kolejna rzecz, której mogłem nigdy nie doznać, jeśli nie wyruszę dalej znaleźć ziół. Serce krajało mi się jednak na drobne kawałki, gdy ta mała dziewczynka powtarzała słowa: „Mama, tata. Tata, mama” – jak chorą mantrę. Nie kryło się w niej jednak nic niepokojącego. Była przepelniona miłością, której to dziecko mogło już nigdy nie zaznać. „Jedziemy na tym samym wózku” – pomyślałem wtedy. Podniosłem lekko jej podbródek i zapytałem wprost:

- Co z nimi? Nie żyją?

Potaknęła głową. Pomimo, że wyznaczyłem już sobie zadanie, wtedy musiałem odprowadzić to dziecko do domu. Czuję całym moim sercem, że właśnie to muszę zrobić. Nawet, gdyby okazało się, że nie będzie pamiętała, jak do niego dotrzeć, to miałem zamiar zaprowadzić ją do wioski leśnej, a tam gospodynie się nią zajmą. Być może, gdy Bóg zobaczy mój dobry uczynek sprawi, że na końcu naszej historii będzie można zamieścić napis: „I żyli długo i szczęśliwie”? Kto wie?

Epidemia szerzyła się szybciej, niż z początku ktokolwiek mógłby podejrzewać. Śmierć bawiła się liniami naszego życia, niesamowicie szybko wymazując je z naszych dłoni, jakby w ogólnie nie istniały. Pomimo optymistycznego nastawienia, każdy mój nerw mówił mi, że koniec był już blisko, a wszystko to tylko kwestia czasu...

Część 3

Wierzę, że Bóg obserwuje nas z góry. Wie, jak splątać losy ludzi, jak wystawić ich na próbę, a jeśli dobrze ją przejdą, to także ich wynagrodzić. Moim zdaniem całe nasze życie jest wielkim sprawdzianem, który zdajemy przez długi czas. Oczywiście nie wszyscy, lecz zapewne wiesz, co mam na myśli. Być może się mylę, ale ja swój zdałem na najwyższą ocenę.

Nie ustępowałem, kiedy maleństwo nalegało, by ruszyć ze mną w dalszą podróż. Podczas, gdy całkowicie zmieniłem kierunek, w którym ówczasie podążałem, dużo opowiadałem tej rudowłosej główce o tym, jak żyje się na obrzeżach miasta. Słuchała mnie zafascynowana, a jej oczy przybierały taki wyraz, jakby rozumiała więcej, niż byłem w stanie przypuszczać.

Kiedy doszedłem do momentu, w którym mowa była o mojej kochance, jej oczy posmutniały. Chyba zdawała sobie sprawę z tego, co muszę czuć, bo przytuliła się do mojego rękawa i powiedziała, że Bóg ją ocali. Opowiedziała mi, że jej rodzice byli bardzo pobożni i wypraszała wiele łask, dotyczących właśnie jej. Ona modliła się za nich, lecz niezbyt jej to wychodziło, więc po prostu wypowiadała coś w swoim dziecięcym języku z dobrymi intencjami. Gdy skończyła mówić, dodała:

- I wiem, że jeśli Bóg ich nie ocalił tutaj, to zrobi to tam. – wskazała kciukiem niebo nad nami – Dla Twojej lubej jest szansa. Nikt nie wie, jakie są zamysły boże i nikt ich nie zmienia.

Kiedy wygłosiła ten monolog, odrętwiałem ze zdziwienia. To dziecko prócz ogromnej wiary było naprawdę inteligentne. Ale czy nie tak to właśnie wygląda? Kiedy życie daje Ci

doświadczyc zła, musisz dorosnąć i zacząć je zwalczać. Kto wie o tym lepiej od syna drwała, który w wieku czterech lat zaczynał nosić bale i miotać siekierą, której większość dzieci w tym wieku nie umiałaby nawet podnieść? Pamiętałem to doskonale.

Matka zmarła przy moim porodzie. W domu się nie przelewało i mieszkaliśmy w malutkiej, przesiąkającej wilgocią i chłodem chatce z omszałego drewna w środku lasu. Była dość podobna do tej, w której przebywała Zielarka, tylko z o wiele niższej półki. Ojciec zajmował się mną, pracą i domem jednocześnie. Było mu naprawdę trudno. Nie mieliśmy pieniędzy praktycznie na nic. Cały bochen chleba był jak wielka uczta.

Widząc podkrążone oczy mojego opiekuna i pozdzierane ręce byłem chętny do pomocy. Tak właśnie kilka razy na dzień przemierzaliśmy razem z wielkimi taczkami parę kilometrów do miasta. Ojciec z synem. Może nie miałem najlepszego dzieciństwa, ale tatę wspominam jak najlepiej.

Zmarł dość wcześnie, bo średnia długość życia nie przekraczała pięćdziesięciu lat, lecz wiedział, że nie musi się o mnie martwić. Przecież od zawsze byłem małym mężczyzną. Czy żałuję, że nie miałem łatwych początków? Kiedyś niewiele je miało, jedynie Ci, którzy mieszkali w zamku. Doceniam czas, który spędzałem z ojcem. To wynagrodziło mi cały ten trud.

Okolo południa tego samego dnia weszliśmy w szczyry las. Tak jak się spodziewałem, zobaczyłem mały obóz, zbudowany z pędów bambusowych i wszystkiego, co znalazło się pod ręką. Moja pewność siebie zniknęła jednak w jednym momencie. Przed nami ujrzałem brudne, zapłakane dzieci, kilka mamek, które się nimi zajmowały i nie nadały z taką ilością podopiecznych.

Rudowłosa dziewczynka patrzyła na nie przerażona. Stała za mną w geście, który oznaczał: „Proszę, ochroń mnie przed tym”. To nie było odpowiednie miejsce dla niej. Nie miała domu, ale w takim miejscu także nie mogłem jej zostawić. Podjąłem szybką decyzję i pociągnąłem ją za kaptur. Krzyknęła rozradowana, że może iść ze mną. Pomyślałem, że to nie będzie wcale takie złe. Nie lubiłem samotności i przydałaby mi się ktoś, komu nie sposób zamknąć buzi – zdawała się być wprost idealnym towarzyszem, nie sądzicie? Miałem nadzieję, że jeśli nasza wyprawa zakończy się pomyślnie, razem z kochanką ją adoptujemy. To była całkiem miła myśl. A nawet jeśli nie my, to Zielarka z chęcią by się nią zajęła. Kochała dzieci równie mocno jak rośliny.

Następną część dnia po prostu szliśmy. Moja mała towarzyszka była zbyt zmęczona, więc pozwoliłem jej wdrapać się na konia, dla którego prawdopodobnie nie była żadnym ciężarem. Przykryła się kocem, który przypałętany był do siodła i zasnęła. Ogier parsknął wesoło, a ja nie zważając na jego poszturchiwanie, choć na chwilę próbowałem oderwać się od realnego świata.

W środku nocy doszliśmy na skaliste zbocze. Wystarczyło tylko przejść na jego drugą stronę, aby dotrzeć do celu, a przynajmniej tak wytłumaczyła mi Zielarka. Nie wiedziałem do końca, czego mam szukać, lecz czułem, iż było to w zasięgu ręki, że wszystko zakończy się dobrze. Rozpaliłem ognisko dwoma krzemieniami – nie powiem, przydatna umiejętność. Delikatnie zdjąłem dziewczynkę z mojego wiernego kompana i ułożyłem ją na skrawku miękkiej trawy. Spała bardzo głęboko. Nic dziwnego, na pewno była zmęczona. Bałem się tylko, że obudzi się w środku nocy z krzykiem, spowodowanym tym, że nie wie, gdzie jest. Miałem nadzieję, że tak się nie stanie, bo wtedy stoczyłbym się chyba przerażony ze skały. Nie ma nic gorszego od rozdzierających odgłosów w środku nocy, nawet tych wywołanych koszmarami. Wziąłem zapasowy koc, który na moje szczęście jednak zabrałem – przezorny zawsze ubezpieczony – i położyłem się na jednej jego połowie, drugą się przykrywając.

Gwiazdy świeciły naprawdę pięknie. Rzadko byłem w stanie to dostrzec – prawie nigdy nie wychodziłem z lasu, aż do teraz, choć rozciągał się on po moich dwóch stronach.

Koń prychnął kilka razy. Wstałem i otuliłem go. Musnął mnie swoim nosem i wesoło machnął ogonem, zarzucając przy tym grzywą. Wiedziałem, że choć on zostanie ze mną od początku do końca. Od czasu, gdy pomagał mi i ojcu ciągnąć taczki, do czasu mojej śmierci. Po moim policzku potoczyła się łza. Otarłem ją wierzchem dłoni, po czym wtulony w kopyta mojego konia usnąłem twardym snem. Marzyłem, by jeszcze kiedyś spać w ten sposób z moją żoną. W naszym skromnym, ale przytulnym domku. Ogrzewając się wzajemnie, wtuleni w siebie z ogromną miłością. Po prostu razem. Tak bardzo o tym marzyłem...

Część 4

Szacunek w dzisiejszych czasach jest cechą godną podziwu. W relacjach międzyludzkich pełno jest uprzedzeń; co do wieku, płci, rasy, poglądów. Ludzie mają problem z akceptacją. Niełatwo przychodzi im godzić się ze zmianami. Honoru unoszą się osoby dominujące, a jednostki dominowane są niewolnikami swoich własnych umysłów i kompleksów. Sztuką nie jest pokazać swoją wyższość. Sztuką jest wśród większości zachować człowieczeństwo i własne poglądy.

Kiedy zbudziłem się rano, poczułem wszechogarniający chłód przedostający się do mojego ciała. Pled lekko się ze mnie zsunął i byłem przemarznięty po całej nocy. Jedyne, co dawało mi choć odrobinę ciepła, to moja mała podopieczna, która w środku nocy obudziła się zlekniona i położyła tuż obok mnie. Na szczęście nie krzyczała.

Już o wschodzie słońca spakowaliśmy wszystkie nasze rzeczy i zagasiliśmy ognisko, które żarzyło się całą noc. Czekala nas długa droga przez przesmyk, oraz wspinaczka. Z bólem musiałem zostawić mojego czworonożnego przyjaciela. Zapewniłem mu dogodne warunki do końca tego dnia. Czule głaskałem go po wilgotnym nosie obiecując, że wrócę. Starłem się nie patrzeć za siebie, gdy razem z tą małą dziewczynką zaczęliśmy schodzić w dół zbocza. Bałem się, że ujrzę smutny wyraz oczu konia, a wtedy na pewno nie dałbym rady iść dalej. Dlaczego tak się roztkliwiałem? Bo to zwierzę było częścią mnie i mojego życia.

Szliśmy już dość długo, wokół unosiła się mgła i nie widzieliśmy zbyt wiele. Widziałem tylko coraz to nowe, dość spore kamienie, które się z niej wynurzały. Wyglądało to nieco jak kanion. Trzeba przyznać, że nawet w niepogodę wyglądał magicznie.

Niosłem moją towarzyszkę od mniej więcej połowy drogi, jednak gdy dotarliśmy do skał, po których musieliśmy się wspinać, postawiłem ją na ziemię. Zaczęłem wątpić, że zabranie jej tu było dobrym pomysłem. Pomimo moich obaw świetnie dawała sobie radę, momentami nawet lepiej ode mnie. Miałem całe pokrwawione palce. Skały były ostre i zadawały ból przy większym nacisku na nie. Mokre od potu włosy opadały mi na czoło. Ta droga wysssała ze mnie całe siły. W niektórych momentach miałem ochotę puścić się ich i rozpląszyć na podłożu, jednak zobowiązałem się już do tylu zadań, że ucieczka od nich nie wchodziła w grę. Byłem jednym z tych ludzi, którzy nie poddawali się, jak źle by nie było.

Wystający odłamek skały pod moją ręką ukruszył się i lekko się ześlizgnąłem. Panicznie szukałem jakiegoś punktu zaczepienia. Dziecięce oczy spojrzały na mnie z góry i z małej klatki piersiowej wyrwał się krzyk. Słyszając go, z całych sił sięgnąłem rękami do wypustek nade mną, zginając przy tym kolana, które ześlizgnęły się kilka metrów z ostrych głazach. Przez moje spodnie zaczęła przesiąkać krew i poczułem, że z ociąganiem mknie także do moich kostek. Jęknąłem niewyraźnie, lecz dałem znać towarzysze, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Wpatrywała się we mnie jeszcze parę chwil, lecz potem zaczęła wspinać się dalej. Skóra na moim torsie piekła mnie, jakbym smażył się na wielkim ognisku, którego płomień liżą moje ubrania. Miałem ochotę na odrobinę odpoczynku lub

choć filizankę lodowatej wody. Słońce grzało tu o wiele mocniej niż w lesie, gdzie drzewa zapewniały cień. Mknęło powoli na niebie, przypominając mi o wciąż przemijającym czasie. A upłynęło go dość sporo, nim przedostaliśmy się na szczyt.

Moment, w którym wciągnęliśmy swoje ciała na miękką trawę i daliśmy odsapnąć dłoniom, a w moim przypadku także kolanom był jednym z najpiękniejszych w moim życiu. Słońce górowało i szykowało się do powolnego marszu w dół, aby przywołać swojego nocnego przyjaciela, którego to kolej była na pełnienie warty. Gdy wykonaliśmy kilka głębokich wdechów, a ja otarłem swoje nogi z krwi, przetarłem oczy z niedowierzania.

Na szczycie wzgórza widniał dość spory domek otoczony bujną roślinnością, jak w puszczy. Tuż za nim prosto w dół w szaleńczym pędzie mknął wodospad. Dom nie posiadał ogrodzenia. Pewnie ze względu na małą ilość odwiedziny. Zastanawiało mnie, kto mieszkał w tej drewnianej chacie ze słomianym dachem, która sprawiała wrażenie zadbanej i zbudowanej przez właściciela własnymi rękami z wielką czcią. Zaraz, kiedy przestałem podziwiać ten sielankowy widok, na moją głowę spadła rzeczywistość.

Jeśli trafiliśmy w odpowiednie miejsce, zdobycie ziół o magicznych zdolnościach będzie dużo trudniejsze niż sądziłem. Nie wystarczy zwyczajnie ich zerwać. Najpierw trzeba będzie uzyskać zgodę, o ile w tym domu ktokolwiek mieszka. Podeszliśmy bliżej. Bałem się, że pomimo późnej pory roku sprawię, że komary zlecą się do mojej krwi ogromną chmarą. Była to dość szalona myśl, ale przeszedł mnie dreszcz, gdy wyobraziłem sobie kilkaset igieł wbijających się w moją skórę. Szybko otrząsałem się z tych ludobójczych myśli.

Gdy doszliśmy do ogrodzenia, poczułem wyraźny odór zatęchłej sierści. Moja towarzyszka też go poczuła, bo aż zatkała sobie nos. Wziąłem ją na ręce, ponieważ żywopłot był o głowę wyższy od niej. Byliśmy dobrze zamaskowani dzięki wierzbom, które stały po obu naszych stronach.

Do naszych oczu dotarł obraz dwóch kobiet. Jednej w podeszłym wieku i drugiej całkiem młodej. Ubrane były w długie, czarne szaty o szerokich rękawach, z powabnego materiału. Na szyi młodszej widniał amulet, lecz staliśmy zbyt daleko, bym mógł dostrzec, co przedstawia. Głowę starszej okrywał kapelusz z kruczymi piórami. Młodsza rozstawiona miała ręce szeroko, jakby składała modły ku niebu, zaś ta druga, jakby wprowadzając ją w trans, jak medium, mówiła jej, co ma robić. Cóż, starałem się tego nie komentować. W cokolwiek wierzyły – jestem dość tolerancyjny.

Nic dziwnego, że nigdy nie widziałem tych kobiet w mieście lub na jego obrzeżach. Chyba zdawały sobie sprawę, jaki los mógł je spotkać. To wyjaśniałoby ogródek z jadalnymi roślinami przy domu, by mieć się z czego utrzymać.

Chwilę później zdarzyło się coś, z czego nie mogłem ich już wytłumaczyć. Młodsza wyciągnęła zza pasa nóż. Złapała z niezwykłym sprytem i gracją przebiegającą obok jaszczurkę, która mnie urzekła. Emitowała, bowiem niebieskie światło, a na jej grzbiecie widniały małe kolce. Kobieta jakby nie zwracając na nie uwagi zacisnęła na nich pięść, zamachnęła się nożem i przecięła stworzenie na pół, a dokładnie w miejscu, gdzie zaczynał się jej ogon. Jako, że jaszczurki gubią go w geście obronnym, nie stała jej się wielka krzywda. Wyszarpnęła się z uwięzi i uciekła w stronę krzaków.

Gdy spojrzałem ponownie na kobiety, przeraziłem się. Tej, która torturowała jaszczurkę i trzymała jej ogon, po dłoni płynęła krew. Lecz nie zwyczajna krew. Była dokładnie tak niebieska, jak sama jej nosicielka. Podstarzała medium podstawiała pod jej ręce małą fiolkę, którą po napełnieniu i wyciśnięciu płynu z ogona szczelnie zamknęła i zabezpieczyła. Byłem ciekaw, do czego go wykorzystują. Może była to swego rodzaju ofiara? Wiedziałem, że raczej się tego nie dowiem, ale było to dość ciekawe z naukowego punktu widzenia. Na razie moja dociekliwość brała górę nad strachem, który ogarniał mnie,

gdy tylko pomyślałem o tym, co te dwie kobiety mogłyby wyrządzić długim ostrzem nieproszonym gościom.

Kiedy tak dumałem, nawet nie zauważyłem, gdy opuściłem moją towarzyszkę na ziemię i kiedy uciekła z mojego pola widzenia. Bałem się, że jako dziecko może zostać zwiedzione urokiem tego miejsca, pomimo jej dorosłości. Nawet mi przychodziło to z trudem. Wiedziałem, że nie możemy sprawiać wrażenia intruzów, by dostać to, czego pragniemy.

Zacząłem bezszelestnie poruszać się pomiędzy krzakami. Znalazłem rudowłosą dziewczynkę w rogu małego labiryntu. Kiedy tylko mnie zobaczyła, prawie krzyknęła: „Patrz!”, a ja zasłoniłem jej usta dłonią.

Nagle z krzaków zaczęły wymykać różnego umaszczenia jaszczurki i inne stworzenia, które wyglądały całkiem jak te, które można zobaczyć na co dzień, lecz w innych barwach, z rogami lub bez, całkiem zmutowane. Nie wiedziałem, jak to jest możliwe, skoro tylko pokrewne gatunki mogą się razem rozmnażać. Widząc połączenie dzika i jelenia poczułem, jakbym śnił. Kto wie, może to właśnie robiłem? Nie byłem w stanie długo obserwować tego pomieszania gatunków, bo zwierzęta natychmiast wróciły do swojej kryjówki, gdy ujrzały moją postać. Dziewczynka podeszła na przód i podniosła z ziemi niebieską jaszczurkę, którą ktoś ówczesnie zdeptał. Jej krew pokryła ręce mojej towarzyszki i ten widok mnie odraził. Jednak, gdy położyła gada u stóp żywopłotu, w oczy rzuciła mi się jej gładka skóra. Zapewniam, że kilka minut temu była równie pokaleczona, jak ja. Czy to możliwe, że...? Nie mogłem w to uwierzyć i nie potrafiłem, lecz im dłużej spoglądałem na jej dłonie, tym mocniej wierzyłem, że znalazłem to, czego szukałem. Znalazłem ratunek. Czuję zwycięstwo. Wystarczyło tylko, że doprowadzę rzecz do końca i wprowadzę plan w życie. Los szykował nam jednak dobre zakończenie...

Część 5

Ludzie potrafią zaskakiwać – zarówno siebie, jak i innych. Jedni pozytywnie, inni niekoniecznie. Znałem w swoim życiu dość tych, których mógłbym zaliczyć do drugiej grupy. Najciekawsze jest to, że olśnienia doznawały osoby, których bym o nie nie posądzał, choć jest to raczej złe określenie na czyny godne podziwu. Byli to zazwyczaj ludzie, którzy nie mogli mi powierzyć nic, prócz swej lojalności.

Ujęła moje dłonie w swoje. Poczułem kojący chłód. Gdy ponownie na nie spojrzałem, były bez żadnej skazy. Została na nich odrobina krwi zarówno mojej własnej, jak tej niebieskiej – jaszczurzej. Gdybym miał jej więcej, poza uzdrowieniem mojej żony, zająłbym się także swoimi kolanami. Ból był nie do zniesienia i widoczne było, że kuleję. Bałem się jedynie o to, by nie wdało mi zakażenie. Bo gdyby tak się stało, to nie dałbym rady się odratować nawet tą magiczną ciecżą.

Kiedy tak spoglądaliśmy na swoje zreperowane ciała, dotarła do mnie okropna myśl. Od czasu, gdy moja mała towarzyszka zniknęła z pola widzenia, a ja się za nią udałem, staliśmy na widoku. No, przynajmniej ja. Ona była za niska i nawet najwęższy krzak ją zasłaniał.

Gdy podniosłem wzrok, ujrzałem, że nóż młodszej kobiety o blond włosach spływających falami po jej policzkach jest wycelowany wprost we mnie. Miała niezmienny wyraz twarzy. Medium, która tkwiła u jej boku uśmiechnęła się kpiąco. Kręcone, siwe włosy okalały jej szyję i nadawały wygląd typowej babuni, jednak coś mi podpowiadało, że w tym wypadku mógł on bardzo zmylić człowieka. Zdawało mi się, że kieruje umysłem tej drugiej, która wyglądała jak robot, lub szmaciana lalka uszyta z chorych ambicji, uwięziona w czyichś rękach. „Kim jesteście? Podejdźcie.” – nie usłyszałem słów, lecz wyczytałem je z ruchu zaschniętych warg muśniętych ciemnofioletowym odcieniem władającej.

Nie miałem najmniejszej ochoty zbliżyć się nawet o centymetr do ostrza, ale wiem, że każdy krok w jego stronę zbliżał mnie także do niebieskiego antidotum. Dziewczynka schowała się za moimi plecami. Wziąłem ją w objęcia i podeszliśmy bliżej – bałem się ją tu zostawić bez opieki po pierwszym razie.

Kobieta spojrzała na naszą dwójkę i zmierzyła nas wzrokiem od stóp do głów. Zauważyłem, że zatrzymał się on na moich pokrwawionych kolanach i towarzysze. A przynajmniej takie odnosiłem wrażenie. Dopiero później zdałem sobie sprawę, co przykuło jej uwagę. Wyglądała, jakby wiedziała, po co tu jesteśmy. Być może była dalszą znajomą Zielarki – tego nie wiedziałem. Wiem tylko, że skinęła w moim kierunku głową. Postawiłem małą rudowłosą istotkę na ziemi – musiałem, pomimo tego, że czułem, jak kurczowo jej palce trzymają się mojego tułowia.

Nagle, ku mojemu zdziwieniu blond włosy kobieta zerwała się jak dziki zwierzę z miejsca. Nie na mnie i nie za nakazem Medium, choć władająca kryła zdziwienie. Jej podwładna wyglądała dokładnie jak głodny tygrys, którego ktoś rozwścieczył w jego klatce, a wtedy wydostał się z niej na wolność. Upadła na ziemię, na której pozostał długi ślad po jej paznokciach. Kiedy ponownie wstała i otrzepała się, rozłożyła ręce, w których widniała żółta jaszczurka. Nie czekając na żadne polecenia dokładnie tak, jakby słyszała je już setki razy, pochwyciła ponownie swój nóż, zamachnęła się nim i przecięła jaszczurkę. Nie wiem, czy zrobiła to umyślnie, czy nie, lecz nacięła ją nieco za wysoko i wyglądało na to, że jeśli ucieknie w stronę krzaków to się w nich wykrwawi. Jednak kobieta jej na to nie pozwoliła. Wręcz przeciwnie. Z dziką furią uściśnęła ją obiema rękami, na które zaczęła tryskać krew – nie mogłem uwierzyć, że tak małe stworzenie może jej tyle mieć. Następnie marionetka zamachnęła się nią i utworzyła przed sobą półkole z czerwonej cieczy, która na pozór zdawała się być po prostu tym, co wypełnia każdego z nas, lecz błyszczała nienaturalnie jasno. Nad wymalowanym pasmem uniosła się para. Spojrzałem na nią urzeczony, nigdy wcześniej nie widziałem takiego zjawiska. Ale to nie wszystko – dokładnie chwilę później w jej centrum zobaczyłem obraz, który był czymś w rodzaju wspomnienia obu kobiet. Nie będę Wam go całego przytaczać. Wiem tylko, że na niektóre sceny nie miałem najmniejszej odwagi patrzeć – bo kto ogląda rozlewy krwi dla przyjemności?

Streszczę obraz, który utkwiał jeszcze na długo w mojej głowie, jakby był moim własnym przeżyciem. Medium wraz ze swoim sługą były kimś w rodzaju naukowców, lecz chyba nieco splątanych psychicznie. Pozyskiwały krew z jaszczurek, które mieszkały tylko w tym miejscu na ziemi i mieszały dzięki niej gatunki innych zwierząt wczepiając im ją, a następnie mnożąc. Spokojnie mogę powiedzieć, że sprawianie bólu innym napawało je niekończącą się euforią. Z zakończenia wizji wywnioskowałem, że chcą nas poddać testowi. Jakiemu? – nie miałem pojęcia. Wiem tylko, że młodsza z nich ani razu się nie odezwała i podejrzewałem, że jest niemową. Medium skinęło na mnie głową. Podeszedłem niechętnie bliżej.

Wystawiłem obie ręce przed siebie i zostałem świadkiem kolejnego morderstwa jaszczurki, tym razem czerwonej. Wyłynęła z niej prawie przezroczysta ciecz. Czułem, że w przeciwieństwie do tej niebieskiej podrażniała moją skórę. Wytrzymałem ból i spoglądałem Medium prosto w oczy, by nie ogarniało jej poczucie wyższości nade mną. Widziałem, że próbowała wyczytać coś w moich własnych, lecz nie do końca rozumiałem, co. Po dłuższej ciszy z jej ust padły pierwsze słowa:

- Jest uczciwy. Walczy o życie kochanki. Może zabrać to, czego pragnie – oznajmiła po krótkiej analizie, wprawiając mnie w zdumienie.

Kiedy wypowiedziała te słowa, a ja spojrzałem ponownie na swoje ręce, które jakby uodporniły się na ból, dostrzegłem, że krew zabawiła się na niebiesko. Widocznie tak miało

być, a spoglądanie w oczy było tylko odwróceniem uwagi. Choć z drugiej strony, skąd kobieta wiedziała, do czego ta mikstura jest mi potrzebna?

Gdy stałem w zamyśleniu, nagle zdarzyło się coś, co zaparło mi dech w piersiach. Dosłownie. Prawie...

Młodsza kobieta zamachnęła się ogromnym nożem. Wbiła go głęboko w moją pierś i pociągnęła wewnątrz ciała przez cały tułów. Krzyknąłem z bólu. Chwilę później świat ogarnęła mgła, lecz byłem w stanie co nieco jeszcze przez nią widzieć. A tym bardziej słyszeć.

Do moich uszu dobiegł przerażony wrzask małej dziewczynki, która krzyczała jakieś niezrozumiałe słowa. Po moich nogach prześlizgnęło się jakieś małe stworzenie. Usiadło na mojej klatce, zadając jeszcze większy ból, a przynajmniej takie miałem wrażenie. Chwilę potem poczułem ich jeszcze więcej, lecz tylko przelotnie. Jednak to jedno czekało. Tylko, na co? Gdyby jakiegokolwiek inne zwierzę położyło się na mnie w taki sposób uznałbym, że to czuły gest. Jaszczurka czekała na śmierć.

Część 6

Po czym można poznać prawdziwą przyjaźń? Sądzę, iż nie po tym, że natknęło się na kogoś, kto jest Twoim lustrzanym odbiciem. Można do kogoś zapalać sympatią nawet, jeśli całkiem się od nas różni. Nie, dlatego, że przeciwieństwa się przyciągają, lecz dlatego, że niezależnie ile różnic byłoby między wami, jedno poświęcałoby się dla drugiego całym swym sercem, nawet gdyby miało wiele do stracenia. To jest właśnie doskonała definicja przyjaźni.

Słyszałem szum, dobiegający znad mojej głowy. Brzmiał jak radio, które miało problem z odbiorem stacji. Być może wydawał go mój mózg, który stopniowo się wyłączał. Moje ciało było wiotkie i nie potrafiłem poruszać żadnymi kończynami.

Westchnąłem lekko, czując jak ból w piersi stopniowo ustaje, a następnie uderza ponownie ze zdwojoną siłą. Jedyne, co było w tym wszystkim pocieszające, to fakt, że skoro oddychałem - żyłem. Zdumiony otwarłem oczy, kiedy poczułem coś wilgotnego i miękkiego na swojej twarzy. Nie dałem rady się poderwać, lecz kiedy moje powieki się podniosły, ujrzałem nad sobą burzę rudych włosów, których właścicielka miała zatroskany wyraz twarzy. Rzuciła mi się na szyję. Objąłem ją na tyle, na ile potrafiłem, lecz mięśnie w miejscu, w którym jeszcze niedawno – a przynajmniej takie miałem wrażenie – tkwił głęboko zatopiony nóż, pulsowało z bólu.

Kiedy dziecko nieco się ode mnie odsunęło, a ja rozpiąłem moją rozciętą koszulę, ze zdziwienia prawie zaniemówiłem. Na miejscu okaleczenia widniała rana zaledwie na dwa, może trzy centymetry. Wokół niej rozkwitła już blizna. Nie wierzyłem, że widzę to naprawdę, lecz właśnie wtedy moja pamięć zaczęła powracać i radio w głowie ponownie złapało zasięg – stacja odbierała poprawnie dźwięki sprzed momentu, gdy moja towarzyszka mnie ocuciła. To, co położyło się na mojej świeżo nakłutej ranie, było jedną z jaszczurek o niebieskiej krwi. Moja towarzyszka jakby czytając mi w myślach odpowiedziała twierdząco na pytanie. Wiem, że to dzięki niej jestem uzdrowiony – przynajmniej częściowo.

Kiedy zdołałem podnieść się na łokciach i siły do mnie wróciły spostrzegłem, że znajdujemy się teraz na tyłach domu, tuż przy wodospadzie i prawdopodobnie to jego słyszałem cały czas, nie radio. Dowiedziałem się, że po akcji buntu młodszej kobiety, kiedy została ona okiełznana przez Medium – po prostu się rozpląnęły. Nie widziałem w tym sensu, nie wiedziałem, jak. Byłem przekonany, że one dwie nie uniknęłyby spalania na stosie, gdyby ktokolwiek je znał. Uczyniły jednak dla nas coś pożytecznego. Medium zostawiła nam cały swój ogród i ratunek dla ludzi z miasta.

Siedzieliśmy i rozmawialiśmy jeszcze kilka minut. Schłodziłem się krystalicznie czystą wodą z wodospadu. To był piękny widok, kiedy woda spadała w dół i rozszczepiała się na miliony malutkich kropelek połyskujących w słońcu. Była tak przejrzysta, że widziałem w jej dno i kamienie, które na nim leżały, pomimo, że było dość głęboko. Oparłem się pokusie dalszego wpatrywania. Wróciliśmy na działkę Medium. A raczej jej była działkę.

Upolowaliśmy niebieską jaszczurkę, lecz długo nie umieliśmy zdobyć się na odcięcie jej ogona, którego na nasze szczęście sama nie zgubiła. W końcu rudowłosa dziewczynka podniosła się z miejsca obwieszając, iż widziała już dzisiejszego dnia tyle krwi, że przynajmniej nie zemdleje, jeśli to zrobi. Tak naprawdę niechętnie dałem jej nóż i patrzyłem, jak nacina ofiarę. Przynajmniej nie sprawiało jej to przyjemności, co wnioskowałem po jej wyrazie twarzy.

Kiedy jaszczurka uciekła, wycisnąłem krew z jej wijącego się ogona i schowałem fiolkę za pas. Ruszyliśmy w drogę powrotną. Kiedy zaczęliśmy schodzić po skałach, żałowałem, że nie upolowaliśmy jeszcze jednego zwierzęcia, by rany na rękach szybko się zagoiły, lecz nie miałem już na to czasu. Rzuciłem ostatnie spojrzenie na drewniany domek. Nie tęskne, lecz raczej ulgi. Pora wracać do domu. Pora zacząć lepszy etap w swoim życiu. Pora na zmiany.

Część 7

Są choroby, na które nie ma żadnego lekarstwa. Jedne z nich są groźne, inne nieco mniej. Jedne zabierają ludzi z naszego świata, inne pozostają w ich ciele długo, by potem nagle w magiczny sposób zniknąć. W przypadku tej pierwszej istnieje tylko jedno lekarstwo. Nic nie działa lepiej, niż miłość. Nic nie jest w stanie wyleczyć człowieka tak dobrze, jak głębokie uczucia. Nic w życiu ludzi nie jest równie prawdziwe.

Nawet nie zauważyłem, gdy słońce zaczęło niebezpiecznie szybko znikać za horyzontem. Jeszcze chwila i miało zacząć zmierzchać. Nie mogłem do tego dopuścić. Musiałem dotrzeć do domu przed zachodem słońca, nie zostało mi już dużo czasu. Kto wie, czy już się nie spóźniłem? Nie wolno było mi tak myśleć. Galopowaliśmy na moim wiernym rumaku już dość długo. Czasem wraz z moim kompanką robiliśmy mu postoje i wtedy biegliśmy o własnych siłach. Im słońce było bliżej ziemi, tym adrenalina w moim ciele rosła i poruszałem się coraz szybciej, czasem niosąc towarzyszkę na rękach.

Kiedy ponownie dosiedliśmy mojego wiernego rumaka, mknęliśmy przez las i sprytnie wymijaliśmy wystające gałęzie i korzenie starych, spróchniałych drzew. Gąszcz mienił się różowymi i pomarańczowymi barwami, w których włosy młodej dziewczynki były jeszcze bardziej płomienne niż zwykle. Czuję, jak wtulała się w moje ramiona, gdy dał wiatr i było jej chłodno. Mi z kolei przynosił ukojenie, a dokładniej miejscu, w które zostałem ugodzony. Choć moja towarzyszka była dużo młodsza ode mnie, okazywałem jej niezmierną wdzięczność za jej odwagę i poświęcanie życia za mnie, choć tak naprawdę prawie się nie znaliśmy. Kto wie, być może będziemy mieć jeszcze na to dużo czasu, jeśli zostanie w naszym domu?

Cały czas miałem w myślach chwilę przy magicznym drzewku, gdy ją zobaczyłem. Nieco później powiedziała mi, że właśnie tego sobie zażyczyła. Chciała, by ktoś ją odnalazł i przygarnął. To do reszty ogrzało moje serce i po prostu nie mogłem jej zostawić.

Na naszej drodze pojawiło się duże jezioro. Pociągnąłem za wodze, chcąc, by koń skoczył, gdyż wiedziałem, że go na to stać, bo robił to już nie raz. Wykonał polecenie, lecz zaraz potem wpadł w dość głębokie bagno, które ciągnęło się dalej, a którego wcześniej nie dostrzegłem ani ja, ani moja towarzyszka.

Krzyknąłem panicznie, widząc, że się w nim zatapiamy. Była to jedna z najniebezpieczniejszych stref w lesie, gdzie błoto pełniło rolę ruchomych piasków, które pożerały ofiarę w całości, kawałek po kawałku, żywiąc się jej paniką. Koń energicznie potrząsnął grzywą i strącił nas z grzbietu. Myślałem z początku, że jest przerażony i dlatego tak się zachowuje, lecz on chyba doskonale wiedział, co robi. W jego oczach nie było ani cienia niepewności. Jeśli niewierna część was zamierzałaby teraz stwierdzić, że zwierzęta nie mają uczuć i nie są istotami rozumnymi, to naprawdę się mylicie. W oczach mojego towarzysza kryła się odwaga i cień rezygnacji. Widziałem, że cierpiał, kiedy nas ratował, choć nie mógłby inaczej postąpić względem mnie. Znałem to stworzenie i miało serce największe, jakie kiedykolwiek spotkałem u stworzenia.

Kiedy upadliśmy z dziewczynką na trawę, od razu rzuciłem wszystko i pobiegłem po długie gałęzie drzew i bale. Nie miałem problemu, by je podnieść. Przecież nie raz robiłem to, gdy byłem młodszy, więc wtedy było to jeszcze prostsze. Sam zrozumiałem jednak głupotę swojego pomysłu. Przecież koń może chwycić gałęzie tylko zębami i w ten sposób go nie wyciągnę, bo odgryzie tylko ich kawałek. Próbowałem pociągnąć zwierzę za uzdę, chciałem wejść w bagno. Nic nie pomagało, zapadło się już za głęboko.

Kiedy ponad taflę gęstego błota wystawało już tylko od szyi w górę, poddałem się. Nie mogłem, lecz nie miałem innego wyjścia. Siedziałem na brzegu. Koń nie patrzył na mnie błagalnym wzrokiem. Widział, w jakiej był sytuacji i chyba nie chciał nam obu tego utrudniać. Nieraz widzieliśmy innych podróżników w tej samej sytuacji, którym nie dało się pomóc. Zawsze jednak mieliśmy poczucie, że nas to nigdy nie będzie dotyczyć.

Zaczęło zmierzchać i wiedziałem, że jest już za późno, że nie dotrzemy do domu przed północą, nie bez mojego rumaka. Czuję, że część mnie właśnie odchodzi. Wiedziałem, że następna też może to uczynić, gdy wejdę do chatki Zielarki i zastanę puste łóżko. Straciłem konia, mogłem stracić także kochankę.

Kilka minut później mój wierny kompan zniknął. Zakryłem twarz dłońmi, a moim ciałem zaczęły wstrząsać okropne konwulsje. Widziałem, że moja towarzyszka też płacze. Kiedy ją przytuliłem i słuchała bicia mojego serca, nieco się uspokoiła. Przynajmniej na tyle, by powiedzieć jedno zdanie:

- Na pewno trafi do końskiego nieba – rzuciła z przekonaniem.

- I będzie miał końskie zdrowie – dodałem, a zaraz potem posłałem ku niebu swoje myśli – „Obyś dotarł do mojego ojca. Obyście, chociaż wy byli razem, jak za dawnych lat.”

Płakaliśmy razem przez około pół godziny, choć nie powinienem był sobie na to pozwalać. Było już prawie całkiem ciemno. Straciłem już wszystko, jednak chciałem zatrzymać, chociaż jedną osobę. Choć nie miałem siły ani ochoty biec, zrobiłem to. Płuca bolały mnie, jak nigdy dotąd, lecz i tak się nie zatrzymałem. Chciałem być jak najdalej od miejsca, które odebrało mi przyjaciela.

Sprawdziłem, czy fiołka dalej tkwi w mojej kieszeni. Na szczęście tam była. Tak jak myślałem, do chatki Zielarki dotarliśmy ledwo przed północą. Na widok tego domku, moja towarzyszka westchnęła z utęsknieniem i łzami w oczach:

- Tak jak mieszkalam. – wyszeptała.

Światło małej lampki było dostrzegalne przez zasłony w oknie. Wszedłem bez zapowiedzi do środka. Spojrzały na mnie cztery pary oczu. Te cudowne cztery pary oczu. W jednych malowała się ulga, w jednych tęsknota i w obu zaskoczenie, gdy w progu stanęła rudowłosa dziewczynka. Moja kochanka leżała na kocach na ziemi. Podszedłem do niej czując, że wtula się we mnie jeszcze o własnych siłach, choć gorączka nie ustępowała. Jej chłodne łzy spływały po moim karku i mieszały się z potem. Cały czas ją obejmując, opowiedziałem całą historię. Nie chciałem tracić za wiele czasu, więc streszczałem się. Na

wieść o śmierci mojego towarzysza, obie kobiety zaczęły płakać, a mi znów załśniły łzy w oczach.

Kiedy wszyscy się już uspokoili, wyciągnąłem z kieszeni fiolkę z lekarstwem. Zielarka przejęła ją ode mnie, zaparzyła herbatę z leśnych ziół w wodzie podgrzanej na kociołku i wlała do niej trochę niebieskiej cieczy. Podała ją naszej dwójce, mówiąc przy tym, że musimy być w pełni pewni, czy chcemy to zrobić. Musieliśmy wypić ją oboje. Tak też zrobiliśmy, nawet nie musieliśmy odpowiadać. Umieliśmy czytać sobie w myślach, jeśli chodziło o takie oczywistości.

Gdy wypiliśmy nasze mikstury do końca, położyliśmy się razem na ziemi, pod jednym kocem. Podpierałiśmy się na łokciach i rozmawialiśmy tak, jakby nic złego nigdy się nie stało, a tymczasem Zielarka zabawiała dziewczynkę. Czułem się bardzo senny, a równocześnie szczęśliwy, że mogę gładzić skórę kochanki. Pomimo choroby i zmęczenia miała przyjemny dotyk. Pocałowałem ją w kącik ust, wyznając miłość. Odpowiedziała tym samym gestem. Położyła mi się na piersi i ze zdziwieniem stwierdziłem, że nie sprawia mi to bólu. Zamknąłem oczy i przyciągnąłem ją do siebie, mocno zacieśniając uścisk.

Jej włosy łaskotały mnie po twarzy. Nigdy nie czułem tak rozgrzanego ciała. Nie wiedziałem, za ile eliksir zacznie działać, ani kiedy gorączka zniknie. Dalej rozważałem słowa Zielarki, próbując je rozszyfrować, lecz mimowolnie przymykały mi się powieki. Czułem, jak moja kochanka powoli oddycha. Niesamowicie powoli. Spojrzałem na nią jeszcze raz. Kiedy następnym razem zamknąłem oczy, w mojej głowie powstało pełno obrazów z moich wspomnień. Gdy chciałem je ponownie otworzyć, poczułem, że...

Odeszli. W jednym legowisku, w jednej chwili. Otuleni kocem i swoją miłością, a ich ciała emanowały przyjemnym ciepłem, jak co nocy, kiedy razem sypiali. Mikstura spełniła swoje zadanie. Sprawiała, że ich śmierć odbyła się bezboleśnie. Dlaczego odeszli? Ponieważ ich choroba nie była w żaden sposób uleczalna, a niebieska ciecz niwelowała rany wyłącznie z zewnątrz, od środka tylko znieczulając. „Ich?” – zapytacie pewnie. Mężczyzna również został ofiarą epidemii, lecz rozprzestrzeniła się u niego powoli, niemal niezauważalnie wyniszczając organizm. Zielarka nie wiedziała, czy zdawał sobie z tego sprawę, a jeśli tak, to doskonale potrafił wypierać ten fakt. Być może miłość kochanki trzymała go przy życiu, być może jego wytrzymałość. A może oba. Do tego nigdy nie doszła. Domyśliła się jedynie, że rudowłosa, mała dziewczynka otulona jej skrzydłami opieki, również zdawała sobie sprawę, z nieuchronnego losu pary. Sama pochowała przybranych rodziców i przejęła ich nazwisko, bo wiedziała, że właśnie tego by chcieli, pomimo tak krótkiej znajomości.

Gdy była starsza i miała swoje własne dzieci, opowiadała im historię kochającego się małżeństwa, które nawet w chorobie nie spoglądało na dobro swoje, lecz drugiego. Nigdy nie powiedziała im, że chodzi o ich dziadków. Ale ona pamiętała. Pamiętała o tym w każdej sekundzie swojego życia. Pamiętała także wiernego rumaka, oraz Zielarkę, która odeszła kilka lat później z powodów wtedy podeszłego wieku. Wiedziała, że wszyscy oni unoszą się wiecznym tańcem do nieba. Wiedziała, że miłość połączy ich również tam.

Koniec